Wydawnictwa rok VI
Dnia 30 września 1928 r.

Nr. 265

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzone

NA REDUCIE POLSKIEJ ZA OCEANEM

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

W WYŚCIGU PRACY przebywamy szybko i często niespostrzeżenie tak olbrzymie przestrzenie, że trudno zdać sobie sprawę z głębokości przemian, jakie się wokoło nas stają. A spocząć, obejrzeć się dla przejrzenia przebytego szlaku, aby dumą natchnąć pierś, nie sposób — czas woła, nowe zadania wzywają, czekać nie chcą, nie mogą. My bowiem nie mamy wątpliwego zaszczytu należeć do gatunku pawi, które rozpuszczają barwny ogon dla dodania sobie znamion wielkości. Tę rolę objęła zdawna endecja i w zwątlałych rączkach zdziecinniałych komedjantów dźwiga opończę fałszu. Oto w gruz rozwaliła się dawno lepianka wielkości, potęgi, władztwa, glina odpadła od suchych badyli, na których wspierała się legenda o jej sile, — a ostatni Mohikanie, odprawując misterja nad urojonemi wielkościami, puszą się niezłomnością, wmawiając w siebie, bo nikt nim w to nie uwierzy, że potęga ich z tego jeszcze będzie świata, bowiem opiera się na wypróbowanych charakterach. Przedziwne to charaktery, których historja nie przekaże, a psychologja wskazywać będzie jako przykłady rażącej anormalności. Ale puszyć się — to ich fach, zwyczaj tradycją uświęcony. Więc skądś dyskretnie z piwnic czy podziemi świątyń wychodzą pomiędzy ludzi wieści o przygotowywanej jakiejś wielkiej akcji „odwetu", o rycerzach wychowujących się endeckiego zakonu. Ku pocieszeniu trwożliwych endeków pospieszamy wyjaśnić, że akcja ta począć się ma realizować po latach, latach — nie dziś, nie jutro — obejmie ona przyszłe pokolenia endeckie, które może bardziej bohaterskie okazać się zechcą. Czy te pokolenia jednak nie zechcą szukać własnych, niezależnych od intencyj endeckich dróg w społecznej pracy, budowniczowie „idei" odwetowej wolą nie roztrząsać. Życzenie endeckie jest wszak rozkazem — więcej, jest rzeczywistością. Choćby ta rzeczywistość tak odmienna była od barw endeckich. A życie przecież idzie, pędzi, porywa — coraz i coraz silniejsze! Wystarczy choćby zanotować tu fakt wielkich przemian w opinji wsi polskiej, na którą tak liczyły „sfery wyłącznie narodowe". I nie pomogą tu egzorcyzmy, bałamuctwa uwodziceli ludu, idących na karku dawnej chjeny. Lud idzie gdzie indziej po drodze pracy i potrzeb, podniesienia gospodarstw i produkcji. Znalazłszy w rządzie oparcie i zrozumienie dla swej roli, znalazłszy wyraźnie zaznaczoną pracę, zawierza tej pracy i na niej buduje swe nadzieje. Słów przecież tyle było, tyle słów na wiatr rzuconych. A teraz jest ktoś, kto się pyta o potrzeby, możliwości, nie o żądania. Ktoś, kto myśli o skarbach ukrytych i ich dobyciu ku pożytkowi ludzi. I dziwić nie może, że hasło współpracy z Rządem, hasło skupienia się pod sztandarem idei Komendanta rozlega się coraz szerzej, niszcząc wpływy programowych lecz bezczynnych proroków, poławiaczy głosów. Rezolucje zjazdów włościańskich, przemówienia działaczy ludowych wskazują najwyraźniej, jak głęboko sięgła owa wewnętrzna przemiana na wsi. Twórcza praca dla Państwa, a z pracy tej wynikająca radość życia wypiera bezduszną i płaską politykomanję, wnosząc siłę organizacyj rolniczych, jako element twórczy, dźwigający rozbitą i skłóconą wieś na poziom, odpowiadający jej znaczeniu. Młode pokolenie wsi zwarcie kroczy pod tchnieniem ducha Komendanta w imię pracy i jej wyników — w tej szkole wyrastają charaktery, dalibóg silniejsze i czystsze o niebo całe od owych za wzór stawianych, a tylekroć podłą robotą shańbionych bezcharakterów endeckich. Przeto gdy straszyć podziemną siłą generacji endeckiej — to wróble na ulicy — ludzie oczy mają otwarte i uszy i tych darów Bożych używają gwoli poznania rzeczywistości — bez pawich ogonów.

ZGROMADZENIE LIGI NARODÓW ZAKOŃCZYŁO SIĘ POD ZNAKIEM POWSZECHNEGO ROZCZAROWANIA. I nic dziwnego. Rzec można bez przesady, iż było ono jednem z najbardziej jałowych w szeregu dotychczasowych produkcji Ligi. Za wyjątkiem powrotu Hiszpanji na łono Ligi nie zaznaczyło się ono żadnym faktem, godnym zanotowania. Wszystkie sporne sprawy zostały odłożone, włączając tu i spór polsko - litewski. Liga coraz bardziej staje się młynem frazeologicznym, w którym aż do znużenia mielą się wciąż te same puste słowa i mdłe formuły. Jeszcze kilka lat takiego mielenia i przelewania z pustego w próżne, a opinja publiczna świata przestanie się nią zupełnie interesować. Względnie najciekawsze były już debaty na komisjach rozbrojeniowych. Stały się one klęską występów delegata niemieckiego, hr. Bernsdorffa, który wspólnie z przedstawicielem Węgier, hr. Apponyji, ubiegał się o same oklaski, potrząsając różdżką oliwną bardzo podejrzanej wartości. Ale łamańce demagogiczne dwóch arystokratów, bałamucących swych słuchaczów utopją, szybkiego rozbrojenia **par force**, nie wywołały pożądanego przez nich efektu. Zgromadzenie Ligi po dłuższej debacie, w której brał żywy udział i polski delegat, min. Sokal, przyjęło rezolucję, stwierdzającą nierozerwalną łączność problemu rozbrojenia z problemem bezpieczeństwa, zalecając temu jaknajdalej idącą ostrożność w zwoływaniu konferencji rozbrojeniowej bez dostatecznego przygotowania. Stąd gniew prasy niemieckiej i pioruny rzucane przez amorów pokoju z Kremla.

*
**

KRADZIEŻ TAJNEGO DOKUMENTU dyplomatycznego stanowi oddawna nienotowany fakt w dziejach współczesnego rozwoju stosunków międzynarodowych. Nie było dla nikogo tajemnicą, iż Anglja i Francja zawarły w końcu lata t. zw. „kompromis morski", ustalający wspólną taktykę obu krajów w kwestji rozbrojenia morskiego, a poniekąd i lądowego, i że ostrzem swem układ ten wymierzony został przeciwko Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej, największego od czasu klęski Wielkiej Armady morskiego rywala Anglji. Głosiły o tem urbi et orbi wszystkie pisma europejskie i amerykańskie. Przypuszczać też należy, że służba wywiadowcza Stanów Zjednoczonych jest nieźle zorganizowana i że odnośne władze amerykańskie oddawna były doskonale poinformowane o treści tajnego paktu. Niewiele więc nowego dowiedziałby się świat z opublikowanego dokumentu, gdyby zawierał on tylko techniczne szczegóły ograniczenia zbrojeń morskich do pewnych większych czy mniejszych jednostek bojowych. Jeśli jednak wierzyć niektórym dziennikom zagranicznym, układ francusko - brytyjski miał zawierać pozatem rozgraniczenie sfer wpływów na oceanie Spokojnym i morzu Śródziemnem, porozumienie w sprawach: ewakuacji Nadrenji, reparacyj niemieckich, współpracy w dziedzinie lotnictwa, oraz pozostawienie poza nawiasem akcji rozbrojeniowej wyćwiczonych rezerw lądowych. Byłoby to niewątpliwie wskrzeszeniem przedwojennej entente'y brytyjsko - francuskiej, która przestała istnieć w Locarno.

**
*

WIELKA RADA FASZYSTOWSKA na uroczystem posiedzeniu, poświęconem szóstej rocznicy „marszu na Rzym", proklamowała się najwyższą władzą Włoch. Jakkolwiek nie jest to wyraźnie zaznaczone w nowej jej ustawie, zmienia ona jednak nie tylko dotychczasową faszystowską konstytucję, lecz i poprzednie zamierzenia „Il Duce". Pomyślana bowiem, jako „państwo korporacyjne", Italja posiadać miała ciało ustawodawcze, z dwóch składające się izb: izby niższej, wybie-

...nej na podstawie swoistej ordynacji, dzięki której do parlamentu wchodzą tylko desygnowani przez rząd faszystowski posłowie, oraz senatu, składającego się wyłącznie z wirylistów. Dominującą nadbudówkę w tym osobliwym parlamencie stanowić miały „korporacje" — wielkie zrzeszenia, związki i syndykaty, wynikłe z segregacji zawodowej. Zdawałoby się, iż ten mało wspólnego z demokracją mający „parlament" stanowiłby dostateczną rękojmię, iż wszystko w kraju odbywać się będzie zgodnie z wolą rządu, a więc — Mussoliniego. ...nego jednak jest ostatnio zdania sam leader faszyzmu, skoro zmienił swój oddawna opracowany plan tworzenia korporacyj (sześć lat oczekujących swego wcielenia w życie) i nad nawiasem faszystowskim parlamentem ustalił konstytucyjną kontrolę w postaci nowej, **trzeciej** izby — Wielkiej Rady Faszystowskiej. Zgodnie z reformą Mussoliniego, Rada obdarzona została daleko posuniętemi atrybucjami: wszelkie ustawy zmianie ustroju, konstytucji, stosunków z Kościołem Katolickim, z państwami obcemi, zastrzeżone zostały Wielkiej Radzie, której obrady z reguły są tajne. Jedynie Rada upoważniona została do przekładania królowi kandydatów na członków gabinetu, których stała lista zgóry zostanie przygotowana. Zbyteczne chyba dodawać, iż Wielka Rada Faszystowska składa się z najbliższych i najbardziej oddanych współpracowników dyktatora, którzy obdarzeni zostali — dla uzupełnienia analogji z rzeczywistym parlamentem — prawem nietykalności poselskiej.

WIDMO GŁODU ZAWISŁO NAD ROSJĄ — nie po raz pierwszy. Bez przesady rzec można, iż w Rosji, — nawet w czasach przedwojennych, — co 3—4 lata wybuchał głód, obejmujący znaczne obszary. Trudność obecnej sytuacji polega na tem, że rząd sowiecki, którego bilans handlowy niemal całkowicie opierał się o wywóz zboża zagranicę, żadnych zapasów zboża dziś nie posiada. Nie może więc nabywać zagranicą mąki dla dokarmiania ludności objętych nieurodzajem obszarów, jeśli nie chce narazić się na zupełną ruinę finansową. Od jesieni roku ubiegłego bilans handlowy Z. S. S. R. wykazuje saldo ujemne 140 miljonów rubli. Wobec obniżenia się eksportu o 20 miljonów, większa część ujemnego bilansu przypada na wzmożony import. Sowiety zamierzały przeciwstawić temu wywóz zboża conajmniej na sumę 150 miljonów rubli i w ten sposób wyrównać niedobór. Jednakże nieurodzaj, który dotknął południe Ukrainy, Krym, Kubań i przedgórza Kaukazu, wytworzył sytuację tak ciężką, iż o eksporcie zboża z Rosji w bieżącym okresie mowy już być nie może. Że sytuacja jest groźna, stwierdza to brak chleba w większych miastach Unji Sowieckiej, niepomierny wzrost drożyzny artykułów żywnościowych i.., taki np. fakt, jak wyznaczenie przez rząd sowiecki Ukrainy miljona rubli na „dokarmianie dzieci w dotkniętych nieurodzajem mejscowościach Ukrainy". Zbliżająca się zima będzie prawdopodobnie najcięższą od czasów wojennego komunizmu zimą dla wynędzniałej i zgłodniałej ludności Z. S. S. R.

NA REDUCIE POLSKIEJ ZA OCEANEM

W życiu wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się nowy okres. Zamknięty został czas chodzenia po omacku wśród podmuchów błędnych nastrojów i poszukiwań, zakończony okres ...ygnięcia wojennego tygla uprzedzeń, orjentacyj, nastawień i zmagań. Przełom oznacza zakończenie XXV Sejmu Związku Narodowego Polskiego w Chicago. Po całym roku ciężkiej próby, roku rozdarcia wewnętrznego, gdy dwa obozy, dwa rodzaje psychiki polskiej, dwa wodzowstwa walczyły o rząd dusz — od wrześniowej kadencji Sejmu Chicagoskiego, — po roku pieczętującym wewnętrzne przemiany na wychodźtwie zostały wyłonione władze organizacji i w wprawne ręce pracowników społecznych oddane wiosła nawy wychodźczej.

Z radością podnieść należy, iż po ostatnim akcie ...acy Sejmu, wyborach, frondująca grupa t. zw. starej gwardji złożyła przez usta owego człowieka, wiceprezesa Garbarka oświadczenie o lojalnej współpracy z nowym Zarządem. Podobne słowa o zapomnieniu uraz padły z ust nowego cenzora Związku, Sypniewskiego. Zapanowała zatem atmosfera wiary, zaufania do siebie i odpowiedzialności za ...rom prac, jakie stają przed Związkiem. A prac ...ch istotnie długi szereg czeka na ręce chętne, — serca gorące, hyzopem odrodzenia skropione, do ...rawy tworzenia dorosłe, trud radosny tworzenia ...łujące.

Gdyby przejrzeć tylko rezolucję, będącą planem ...ac Związku na przyszłość najbliższą, już otworzy ... horyzont zadań niełatwych, a rozległych:

„My Posłowie i Posłanki Sejmu XXV Z. N. P., zebrani na Sejmie w hotelu Sherman w mieście Chicago, stanie Illinois, uchwalamy jak następuje:

Stwierdzamy naszą lojalność dla Stanów Zjednoczonych i wdzięczność naszą za wszystko co naród i rząd Stanów Zjednoczonych zrobił dobrego dla Polski bądź w czasie wojny światowej, bądź na konferencji pokojowej w Wersalu, bądź po wojnie, pomagając wycieńczonej przez wojnę Polsce w dźwiganiu się z wojennego zniszczenia, lecząc chorych, żywiąc głodnych i na wszelki inny sposób okazując Polsce swoją życzliwość.

Składamy hołd starej Ojczyźnie naszej Polsce i życzymy Państwu Polskiemu dalszego rozwoju na polu gospodarczem i politycznem, a przyrzekamy pomagać Najjaśniejszej Rzeczypospolitej z całych sił naszych w wszystkich jej przesięwzięciach zmierzających ku utrwaleniu i rozwojowi mocarstwowego stanowiska Polski w rodzinie narodów.

Przyrzekamy Polsce i Wychodźtwu Polskiemu w Ameryce stać na straży polskości i wpajać w młode pokolenia Wychodźtwa miłość dla Polski i zrozumienie jej posłannictwa dziejowego, jej roli w życiu zbiorowem ludzkości, jej ideałów i jej prac w celu urzeczywistnienia w tych ideałach.

Rozumiejąc olbrzymią wartość dla Polski i dla Europy objęcia w roku 1926 rządów w Polsce przez wielkiego człowieka narodu Polskiego, wskrzesiciela niepodległej Polski, zwycięskiego obrońcy ojczyzny przed wschodnim zalewem, pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, przesyłamy mu gorące wyrazy czci i wdzięczności i przyrzekamy za pomocą prasy naszej, szkół naszych i wszelkich innych środków oświatowych szerzyć wśród Wychodźtwa, a nadewszystko wśród naszej młodzieży prawdę i tylko prawdę o Nim i o jego działalności.

Wierzymy mocno, że pod jego kierownictwem Polska będzie iść drogą prostą i trafną ku wielkiej przyszłości, jaka się jej należy, jako najkulturalniejszej z Państw Słowiańskich w Europie.

Zwracając się teraz do naszej własnej a tak drogiej nam organizacji ku Związkowi Narodowemu Polskiemu, — wyrażamy nasze zadowolenie z przebiegu obrad Sejmu XXV i uchwał przez niego powziętych.

Wyrażamy nasze zaufanie dla wybranych przez Sejm urzędników i obiecujemy pomagać im w ciężkiej i odpowiedzialnej pracy przez zgodę wewnątrz Gmin, Grup naszych, przez życzliwy stosunek do ich poczynań i przez pracę gorliwą nad pozyskaniem nowych członków Związku.

Stwierdzamy, że Związek Narodowy Polski z racji swej struktury nie jest ani partją ani obcym, lecz jest zrzeszeniem dobrych Polaków i Polek nieraz różniących się między sobą w poglądach i przekonaniach, lecz złączonych ściśle ze sobą miłością dla Polski i dla ludu Polskiego na Wychodźtwie, a poświęconych pracy nad szerzeniem wśród miljonowych tego ludu zasad czystej polskiej i amerykańskiej demokracji, zasad postępu, czystości i uczciwości obywatelskiej i bratniej miłości.

Odpieramy i potępiamy dzielenie nas Związkowców na takich lub owakich, na białych lub czerwonych i uważamy za wysoce szkodliwą, działalność pism Związkowych pod tym względem za ostatnich lat.

Polecamy i żądamy, aby nadal nie powtarzały się w pismach naszych żadne wybryki, mające na celu dzielenie nas i kłócenie. Rozwój naszej organizacji wymaga zgody i wzajemnego poszanowania uczuć i przekonań każdego członka i każdej członkini.

Wierzymy, że nowy nasz Zarząd z Szanownym Cenzorem na czele potrafi pokierować prasę Związkową tak, aby stała się ona wzorem całe prasy polskiej na Wychodźtwie i zasłużyła na uznanie ludu polskiego w Rzeczypospolitej Polskiej, mając na względzie szerzenie oświaty i wiedzy w szeregach naszych, polecamy gorąco popieranie szkół i szkółek polskich zakładanych przez Gminy, albo przez inne jakie uczciwe zrzeszenie, oraz Wyższej Szkoły Związkowej, a także Fundacji Kościuszkowskiej, która dąży do wymiany sił naukowych między Polską i Ameryką, kładąc przez to podstawę do bardziej ścisłego zrozumienia się wzajemnego tych dwóch wielkich, a tak szczerze zaprzyjaźnionych ze sobą narodów.

Wzywamy Gminy Związkowe aby korzystały z funduszu uobywatelnienia, pozostawiając im wolną wolę, aby te, gdzie uważają to za wskazane i potrzebne korzystały z tego funduszu na prowadzenie szkółek języka Polskiego, prowadzenie innej pracy oświatowej, lub zakładanie bibljotek i t. p.

Z całego serca powinien lud nasz popierać Stowarzyszenie Weteranów Armji Polskiej i Amerykańskiej i dążenia i cele Śpiewaków Polskich, oraz kółek oświatowych pracujących z poświęceniem nad podniesieniem kultury Polskiej na wychodźtwie.

Uznając pożyteczność wydawnictwa „Poland", polecamy Braciom naszym i Siostrom popieranie tego pięknego Miesięcznika, który szerzy wśród Am rykanów znajomość Polskiej Kultury, sztuki i li ratury, oraz uświadamia o gospodarczym, przem słowem i handlowym stanie Polski.

Polecamy usilnie popieranie na rok 1929 wy cieczki do Polski w celu złożenia hołdu Najjaśnie szej Rzeczypospolitej z okazji jedenastej roczni jej niepodległości.

Niech żyje Polska Wielka, mocarna, bog i szczęśliwa!

Niech żyje Prezydent Ignacy Mościcki!

Niech żyje Marszałek Piłsudski!

Niech żyją Stany Zjednoczone i ich prezyde Calvin Coolidge".

Na płaszczyźnie powyższych uchwał nietrud będzie znaleźć wspólny język innym organizacjo na wychodźtwie, które z racji swego ideowego w znania i uczestnictwa w Zarządzie Związku N. ludzi temu wyznaniu wręcz wrogich, musiały zda powstawać od akcji budowania jednolitego fron polskiego za oceanem, albowiem akcja taka wsk tek zastarzałych antagonizmów politycznych da nych władz Związku, dawnego obozu rządzące z góry musiała być skazaną na niepowodzenie. N ulega też wątpliwości, iż tak silnie w rezolucji po kreślona konieczność utrzymania łączności z C czyzną zyskuje szersze pole możliwości, gdyż sto nek Związku do władz naczelnych w Państwie, opinji w kraju jak i do całokształtu spraw polski został zupełnie wyraźnie sprecyzowany, nie poz stawiający żadnych niedomówień czy niejasności.

Najwyższy to już czas wreszcie, by został w tworzony wspólny język „starego kraju" i wychoc twa, by nić porozumienia i współpracy nie dzierg się skromnie po kątach w wolnych od zajęć ch lach rozczulenia, lecz by wysnuwała się z kłęb rzetelnego i poważnego planu. Wszak staje prz nami sporo bardzo bliskich zagadnień. Od dłuż go czasu propaganda niemiecka i sowiecka, ty kroć zdyskredytowana w Europie, przeniosła się grunt amerykański, starając się opinję Stanów Zje noczonych nastroić antypolsko. Czego się tam pisze na temat demokracji, i niedemokratycznej P ski, praw człowieka, dla ugruntowania który wszak Ameryka zaangażowała się w wojnę z Nie cami! Jak naiwnie pragnie się wyzyskać łatwowi ność i nieznajomość rzeczy Amerykanina, by Polskę ośmieszyć czy zohydzić!

Ze strony polskiej niestety żadnej kontra niema. Niema, bo jej od poselstwa i konsulat oczekiwać nie można, brak zaś jakiegokolw ośrodka, któryby mógł brednie antypolskie dem tować, ścisłych informacyj przez właściwą dr dostarczać.

Sprawa propagandy naszej wytwórczości, t styki, ta wielka fala słowa — czynu polskiego, i nia polskiego jakżeż głęboko związana być wi z działalnością organizacyj naszych na wychodźtv

Na reducie polskiej w Chicago znalazły obecnie nowe umysły, gorące, niezwietrzałe w r nie serca, oddane Sprawie i wierzące w swe sił umocnione wytrwałością trudu i bogate doświad

niami pracy — żywe umysły, tęgie ręce. Wierzymy w ich energję i wolę i poprzez ocean dłonie wyciągamy z pomocą, gdy trzeba będzie, z uznaniem i radością wspólnego trudu budowania rzeczywistości polskiej i siły Odrodzenia. A że nie od dziś przy swym warsztacie się spotykamy, przeto poprzez lądy i morza ślemy nasze legjonowe: Cześć!

Leopold Tomaszkiewicz.

O RÓWNOWAGĘ, CZY PRZEWAGĘ POTĘGI MORSKIEJ

Traktat angielsko-francuski w przedmiocie obustronnych uzbrojeń oraz ich ewentualnego ograniczenia obok swej strony europejskiej posiada o wiele ważniejszą — światową, oceaniczną, gdyż w pierwszym rzędzie zmierza do uregulowania sprawy flotowej. Stanowi on nowy epizod tej sprawy, której ostatnim ogniwem była — nieudana konferencja trzech najpierwszych mocarstw morskich Wielkiej Brytanji, Stanów Zjednoczonych i Japonji. Ta ostatnia manewrowała nader zręcznie i umiała cały ciężar ujawnionego antagonizmu pozostawić swym anglosaskim partnerom. Świat polityczny dowiedział się, że konferencja uległa rozbiciu, bo Anglja i Ameryka nie mogły się zgodzić w sprawie krążowników. Obecnie Anglja doszła do porozumienia z Francją i fakt ten odbije się niemiłem echem za Atlantykiem. Wychodzi bowiem na to, że w drodze porozumienia z najbliższą sąsiadką, Anglja chce przeprowadzić układ morski, niezgodny z koncepcją waszyngtońską, co zmusi Amerykę albo do musowego zaakceptowania projektu angielsko-francuskiego albo do porzucenia wogóle myśli traktatowego uregulowania uzbrojeń morskich.

Opinja zaatlantycka jest rozdrażniona tą perspektywą; we wpływowej prasie powtarzają się ostrzeżenia i groźby, że skoro odnośne porozumienie okaże się niemożliwem, Ameryka posunie swe zbrojenia morskie tak, że współzawodnikom jej trudno będzie za nią podążać. Zanosi się więc na wyścig morski pomiędzy obiema potęgami anglosaskiemi, a jak się on odbije w stosunkach politycznych i do czego może doprowadzić, to już wskazuje sama logika rzeczy oraz nauka, wysnuta z historji.

Optymiści mogą powiedzieć, że ostry zatarg pomiędzy Wielką Brytanją a Stanami jest niemożliwy, gdyż niema spornego przedmiotu, niema takiego obszaru, do którego obie strony rościłyby pretensje. Rozważając spory i starcia europejskie, można każdorazowo wskazać terytorja, które były przedmiotem pożądania i miały się stać nagrodą zwycięstwa. W danym razie o niczem podobnem nie może być mowy.

W pierwszej połowie zeszłego stulecia i nieraz jeszcze później mogło się wydawać, że przedmiotem ostrego zatargu pomiędzy Anglją a Ameryką stanie się Kanada, którą politycy yankesów uważali poniekąd za dalszy ciąg swego własnego przyrodzonego terytorjum. Były też w ich przewidywaniach i planach zamiary zawładnięcia przy pierwszej sposobności Kanadą i niewątpliwie Rosja Aleksandra II spekulowała na tę ewentualność, gdy sprzedawała Alaskę nie Anglji i Kanadzie, lecz właśnie Stanom Zjednoczonym. Obecnie sprawa zmieniła charakter, gdyż Kanada przestała być posiadłością i własnością Anglji, a jest państwem niepodległem, związanem z metropolją raczej moralnemi niż prawno-politycznemi węzłami. Straciły też obecnie wszelki grunt wśród yankesów pomysły zabierania Kanady zbrojną ręką. Lecz skoro tak, to o co mógłby powstać konflikt? Czyż wobec tego kwestja obustronych uzbrojeń morskich oprócz kosztów ma w sobie coś realnego?

Odpowiedź na powyższe pytanie sięga w głąb całej dynamiki politycznej współczesnego świata. Dwie największe potęgi morskie, związane pokrewieństwem pochodzenia i wspólności języka, a nie mające żadnych punktów spornych, czujnem a zazdrosnem i podejrzliwem okiem śledzą nawzajem swe uzbrojenia i gotowe są do kłótni o lada krążownik. Wszak prosty rozsądek mówi, że skoro nie zamierzam prowadzić z kimś wojny i nie oczekuję on niego napaści, mogę nie dbać o jego narzędzia walki, albowiem te wchodzą w grę dopiero wtedy, gdy ma się zacząć sama walka, a tej przecież być nie może i nie będzie...

Atoli tej jasnej logice przeczą dobitnie fakty, widocznie więc w jej przesłankach jest coś fałszywego lub przynajmniej jednostronnego. I tak jest rzeczywiście. W naszym świecie siła nietylko służy danemu państwu do wojny, lecz i do tego, aby nikt z nim nie szukał zwady i nie narzucał mu swej woli.

Od wojny światowej Ameryka ma poczucie, że Anglja pogwałciła jej wolność żeglugi morskiej i narzuciła jej swe przepisy blokadowe. Według ścisłej logiki rzeczy, jak twierdzi znany historyk i myśliciel polityczny Ferrero, Ameryka powinna była wypowiedzieć wojnę jednocześnie Anglji i Niemcom. Ponieważ jednak ze względów praktycznych było to niepodobieństwem, więc musiała wybierać, „kogo ma uważać za swego wroga, a kogo za sprzymierzeńca".

Ameryka przystąpiła do wojny pod hasłem wolności mórz i chciała zrobić z niego jeden z głównych punktów przyszłego pokoju. Zanim jednak konferencja się zebrała, Anglja przy współudziale Francji zdołała usunąć to hasło z porządku dziennego. Tu, zdaniem Ferrera trzeba szukać źródła tego dziwacznego i nieufnego względem Europy stosunku, jaki cechuje powojenną politykę Ameryki. To, czego nie mogła ona osiągnąć na obradach pokojowych, próbowała inną drogą przeprowadzić na konferencji waszyngtońskiej. Chodziło jej tam także o wolność mórz, t. j. o to, aby Anglja nie występowała w roli prawodawczyni żeglugi, środkiem zaś do tego miało być unormowanie sił morskich w ten sposób, by flota angielska nie przewyższała amerykańskiej. Takie porozumienie istotnie stanęło na koferencji waszyngtońskiej, atoli okazało się, że jest ono zgoła niedostateczne, gdyż nie obejmuje krążowników i innych drobniejszych statków, które dla pewnych operacyj wojennych mieć mogą wielkie znaczenie. Jak widać na drodze do porozumienia leżą nielada trudności, skoro Anglja zawiera oddzielny pakt z Francją, który ma wzmocnić jej pozycję wobec Ameryki i ułatwić z nią rozmowę.

Ameryka pragnie ukrócić samowolę Anglji na morzu, nie widać jednak, iżby sama była przejęta po-

szanowaniem faktycznej samodzielności inych państw. Anglja zaś, gotowa zazwyczaj do kompromisów, nie chce dla nikogo poświęcać tego, co uważa za swój żywotny interes.

Wytworzyła się więc sytuacja tego rodzaju, że obie wielkie potęgi nie widzą konkretnego przedmiotu sporu, lecz są przekonane, że może się on nagle wyłonić i na ten wypadek chcą mieć po swej stronie przewagę siły.

Na dnie tego bezprzedmiotowego narazie współzawodnictwa leży głębokie z obu stron przekonanie, że w sprawach żywotnych żadne dobrowolne porozumienie nie jest możliwe, że jeden egoizm musi być złamany lub zepchnięty przez drugi.

Taki sens moralny (lub niemoralny) zdaje się płynąć z rewelacyj obu potęg, z których każda uchodzi za oficjalną ojczyznę pacyfizmu!

T. Grużewski.

KWESTJA ODŻYWIANIA — WIELKIEM PROBLEMEM LUDZKOŚCI

Ostatniemi dniami została zamknięta berlińska wystawa pod nazwą: „Odżywianie" („Ernährung").

To olbrzymie przedsięwzięcie społecznej natury zostało wykonane w imię zasady, że **niezawisłość gospodarczą i wolność polityczną można we własnem mocarstwie mieć zabezpieczonemi tylko wtedy,** jeśli **masy ludowe odżywiane są racjonalnie produktami własnego państwa.** Te słowa wypowiedział Senius, minister rolnictwa i aprowizacji Rzeszy, a cały szereg jego kolegów oraz innych miarodajnych działaczów niemieckich wypowiedział się podobnież. Znamienne są słowa Bössa, nadburmistrza Berlina, który wyraził się, że gospodyni,, umiejąca wybierać pokarmy celowo i oszczędnie, pomaga tem nietylko sobie i swej rodzinie, lecz całej swojej ojczyźnie.

Znane zasklepienie się we własnej wielkości maleje u Niemców, gdy chodzi o sprawy odżywiania. W głównym katalogu wystawy przytoczono, cytując źródło, słowa profesora finlandzkiego, który odrzekł, że przyszłość należy do tych narodów, co z nauki o odżywianiu potrafią wyciągnąć dla siebie najpomyślniejsze wyniki. Na wystawie spotykało się raz poraz nazwisko prof. Hinhede, dyktatora żywnościowego Danji z czasów wielkiej wojny, a przeciwnika poglądów naczelnego higjenisty Niemiec Hohenzollernowskich prof. Rubnera. Rubner nie zalecał ciemnego chleba i był wyznawcą intensywnego odżywiania ludzi mięsem. Hinhede szerzył odwrotne poglądy. Skutkiem tego, gdy z wybuchem wojny światowej nastąpiła blokada, obejmująca Niemcy i kraje przyległe, Hinhede zarządził niezwłoczną rzeź i spożycie chlewni oraz tych zwierząt domowych, z jadalnem mięsem, które nie dostarczały mleka dla dziatwy. W Niemczech pod wpływem teorji żywnościowych Rubnera zachowano życie nierogacizny. Skutkiem tego, mnóstwo żyta, podlegającego surowo przestrzeganej taksie — zamiast wprost na rynek — poszło do świńskich żołądków, a dopiero po przetworzeniu na drogie mięso, przedostało się na pokarm dla ludzi.

Twierdzono, że przegraną ze strony Niemiec, spowodowała świnia, i obecnie olbrzymia wystawa była głośnem wezwaniem do spożywania warzyw i ogrodowizn, zwłaszcza w stanie surowym. Na wystawie otrzymywało się doskonałe i ozdobnie przyrządzone dania z surowych pomidorów, rzodkwi, rzepy, sałaty, ogórków, surowe soki, wyciśnięte z owoców, doskonały chleb z mąki żytniej, wymiału przeszło 90%, z domieszką podobnie wymielonej mąki pszennej. Mleko, otrzymywane na miejscu za pomocą ssących aparatów, było nektarem nieporównanej dobroci, bo wolne było od brudu rąk dojek i od gnoju, strząsanego z ogona krowiego w ceber.

Na wystawie były w ruchu trzy piekarnie i dwa młyny. Dwie z tych piekarń produkowały bułeczki, parówki w cieście, keksy. Małe ilości produktu wymagały tam dużego nakładu pracy ręcznej.

Natomiast obok nich była trzecia piekarnia, która masowo wypiekała ciemny chleb żytni i żytniopszenny. W niej na godzinę i pracownika przypadała produkcja blisko dwustu kg. chleba, gdy w naszych, ręcznych piekarniach, norma produkcji jest w osiem godzin 1500 kg. chleba, oto rezultat pracy pięciu piekarzy i dwóch pomocników, czyli na pracownika i godzinę przypada niespełna 27 kilo chleba, słowem około 8 razy mniej, niż w piekarniach automatycznych.

Fabryka pieczywa, do której należała wystawowa piekarnia automatyczna, wyrabia 24 gatunki chleba, jak stwierdzała tablica z przytwierdzonemi kromkami chleba. Z tych tylko 9 jest gatunków chleba białego lub jasnego pszennego, żytniego i żytniopszennego. Pozostałe 15 gatunków to chleb ciemny, cokolwiek tylko jaśniejszy od naszego razowca. To jest bardzo pouczające dla Polski, zmuszonej nabywać zagraniczne ziarno chlebowe.

Owa fabryka pieczywa ma w danej chwili możność produkowania ćwierć miljona kilogramów pieczywa dziennie, do czego służy około czterdziestu pieców starszej konstrukcji i jeden piec automatyczny, zwany „Mamut". Jak się naocznie przekonał niżej podpisany, ta fabryka jest obecnie rozszerzaną w ten sposób, że za parę lub kilka miesięcy jej siła przerobowa wzrośnie do 400.000 kg. na dobę, bo w gotowych już pomieszczeniach ulokowany będzie „Mamut" z wystawy, a buduje się tam jeszcze parę innych automatycznych pieców.

Wystawowy „Mamut" piekł i ryczał. Trzeba przyznać, że ryk ten nie był przykry dla laików i nie odstraszał widzów, lecz ich nawet wabił, choć przeznaczony był nie dla publiki, a dla dozorców pieca. Mianowicie, olbrzym ten jest ogrzewany mnóstwem małych płomyków gazowych. Długość palnikowych rurek gazowych „Mamuta" przenosi w sumie pół kilometra. Podzielone są one na rejony sygnalizacyjne. Gdy się palenie w jakimś rejonie przerywa, rozlega się ryk sygnalizatora i dozorca biegnie, by palenie uporządkować. Z jednego tylko boku pieca,

zwróconego ku publiczności (drugi bok był nie dla wszystkich dostępny) naliczyłem dwieście cztery zapalacze elektryczne, z których każdy należy do gazowej rurki palnikowej. Takie urządzenia może są dobre w Anglji i w Niemczech, lecz się nie nadają dla krajów, gdzie świat piekarski jest podminowany przez bolszewizm. W chwilach kryzysów społecznych lub politycznych wystarczyłoby pozbawić „Mamuta" ryku, psując sygnalizację, ażeby piekarnię unieruchomić lub zgoła zrujnować przez wybuch niespalonego w porę gazu, zmieszanego z powietrzem.

Główną treść pouczeń wystawy stanowi: jeść ogrodowizny i owoce, możliwie surowe, pić dobre mleko i spożywać ciemny chleb, a siła i oszczędność będą wynikiem zreformowanego odżywiania.

Tadeusz Lewicki.

Berlin.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

O HIERARCHJĘ UMYSŁOWĄ I MORALNĄ*)

Niema wielkiej poezji bez wielkiego życia, a wielkiego życia niema bez wielkiej idei i wytrwałości w jej realizowaniu. Rzeczy wieczne może tworzyć tylko człowiek wieczny. Z chimery zrodzi się zawsze tylko chimera. Głęboko sięgnął w te sprawy Julien Benda w swojej mądrej rozprawie „La trahison des clercs" i w „La fin de l'Eternel". Nietykalny jest komunał, że człowiek, który nie wie, dokąd idzie, jest włóczęgą i w społeczeństwie ludzi osiadłych budzi nieufność względem swoich poczynań. Nawet w wyprawach do bieguna północnego cel jest jasno wytknięty a odchylenia igły magnetycznej ściśle przewidziane w drodze i u celu. Sokrates., Dante, Napoleon, Mickiewicz, to nietylko wielkie zdolności, ale wielkie napięcie woli, kierowanej rozumem i sercem. Topografja świata duchowego wymaga wielkiej precyzji, jeśli wędrowiec nie chce się zgubić śród bezdroży. Środkami orjentacji są zdobycze intuicji i rozsądku, religji i wiedzy. *Zdobycze*, to jest rzeczy posiadane, własne, przyswojone. Do elementarnych prawd życiowych należy komunał, że tylko to cenimy, co nas drogo kosztuje, na co trzeba było wydać dużo wysiłków mięśni i pracy umysłu. I religja musi być swoja, trudem ducha zdobyta, i wiedza musi być własna, nie cudza. Posiadanie tragiczne różni się zasadniczo od posiadania konwencjonalnego. Starożytny Wschód inaczej przyjął chrześcijaństwo, niż barbarzyńska Europa wczesnego średniowiecza. Bogate doświadczenia życiowe wielu pokoleń, smutek towarzyszący pesymizmowi, zachwianie się dawnych wiar religijnych w sercach wyznawców, wszystko to złożyło się na tę wielką tęsknotę, która buchnęła wulkanem entuzjazmu pierwszych chrześcijan. Do ludów europejskich wiara chrześcijańska przychodziła jako politicum. Młodym barbarzyńcom kazano się kajać za grzechy, których nie uznawały i nie rozumiały ich młode, naiwne serca, kazano im się wyrzekać uciech miłości i wojaczki. Stąd owo romantyczne rozdwojenie duszy, chytrze uzasadniającej własne skłonności sprawami boskiemi. Izolda złotowłosa wyprzedzi o parę wieków jezuitów i znajdzie sposób na taką przysięgę, która będąc kłamstwem, formalnie jest wyrazem prawdy. *Reservatio mentalis* zrodziło się wtedy, gdy kazała Tristanowi podnieść siebie z ziemi, a potem przysięgała bez obawy, że prócz jej małżonka, króla Marka, i tego oto pielgrzyma, nikt jej nie miał w objęciach.

Religja jest postawą wobec Boga i świata. Nie chodzi tu o jakieś werbalne wyznania wiary, czy też przyjmowania czegoś do wiadomości mniej lub więcej indyferentnej, ale o akt bohaterstwa, o przyjęcie za pewnik, że królestwo Boże zwycięży i że jego żołnierz może polec w radosnej wierze, iż śmierć jego daremną nie była. Taką była wiara pierwszych chrześcijan, gdy ginęli w cyrkach rzymskich. Ani na chwilę nie wątpili, iż krew ich jest posiewem, z którego rodzi się nowe życie i nowy świat. Gdy jakieś zacne pacholę twierdzi chrypnącym od irytacji głosem, że chrześcijaństwo nie jest treścią, ale formą, to po pierwsze dziwno się robi, że Chrystus przyniósł światu nie nową treść życia, ale nową formę dla starej treści, a po drugie niebardzo jest jasnem, dlaczego tysiące ludzi ginęły dla tej właśnie formy. Ale dajmy głos wielkim i uznanym, na których nieświadomość nie odważy się podnosić dyszkantu niemoderowanego ani wiedzą, ani doświadczeniem.

Już przed kilkunastu laty zwróciłem uwagę na fakt, że mamy dwie opinje: jedna krzykliwa, hałaśliwa, powszednia i pospolita, druga uroczysta i wielka, ale milcząca i przemilczana. Mickiewicz „Prelekcyj Paryskich" i „Trybuny Ludów" jest na indeksie intelektu polskiego, podobnie jak artykuły polityczne Goszczyńskiego, niektóre oktawy z Beniowskiego i pewne wiersze Konopnickiej, że wymienimy tylko kilka przykładów. O Ostrorogu, Modrzewskim, Klonowiczu niema co wspominać, bo do tych pisarzy mało kto zagląda, a najmłodsze pokolenie, tak mocno pieniące się wobec erudycji, której nie uznaje i przyswajać sobie nie chce, zna ich już tylko z imienia. Twierdzę, że chrześcijaństwo przyszło do nas jako politicum i takiem politicum naskórkowem pozostało. Brückner umie o pierwszych wiekach polskiego chrześcijaństwa opowiadać rzeczy zastanawiające. Wierni chrześcijanie umieli powiedzieć *kierlesz* (Kyrie elejson) i wystarczało im to. Dzisiaj po stuleciach zdarza się, że prof. gimnazjum zapyta, czy to prawda, że Ojcze Nasz zostało ułożone jako wyznanie wiary na soborze bazylejskim. Zresztą Brzozowski powiedział to nieskończenie

*) Odpowiedź na artykuł p. M. Popiela p. t. List czytelnika na temat anarchji w polskiej poezji dzisiejszej. Nr. 263 Tyg. Gł. Pr.

wymowniej, że inteligent polski nie interesuje się wiarą, którą wyznaje. Toteż stosunek do religji jest u nas tak chaotyczny, jak bodaj nigdzie indziej.

Zacytujmy Szujskiego, piszącego o wiekach średnich w Polsce. „Przeniewierstwa, krzywoprzysięstwa, brak poczucia własnej godności spotyka się u więcej niż połowy książąt tej epoki. Jak na publicznem, tak na familijnem życiu wielkie plamy. Krewni więżą się, prześladują, kłócą o spadki po rodzicach: rzadko który syn lub pupil doczeka się śmierci ojca lub opiekuna, aby się nie zrywać na przyszłą część swoją. Ludgarda, żona Przemysława, zabita, Adelajda ucieka w koszuli od Rogatki. Gwałty, rozboje i zabójstwa są rzeczą zwyczajną, otrucia grasują gwałtownie w wieku trzynastym... Jednego grzechu w nim nie było: były zbrodnie, świętokradztwa, kazirodztwa, ale niedowiarstwa nie znajdziesz. Wiara była w głębi duszy szalonego Rogatki tak dobrze, jak w duszy świątobliwej Kunegundy" (Dzieje Polski § 99). Co to znaczy? Nie chodzi nam tu o ludzi wieków średnich, ale o światłego historyka zeszłego wieku, który maluje obraz zdziczenia moralnego i rozprzężenia społecznego, a potem chwali tych ludzi, że byli dobrymi chrześcijanami, bo niedowiarstwa śród nich nie było. Taki sam sposób myślenia znajdujemy u Karpińskiego w jego pamiętniku. Opowiada on o Stanisławie Auguście rzeczy zaiste horrendalne, jako o wielkim rozpustniku, który psuł wszystkie kobiety swego bliższego i dalszego otoczenia. „Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religję" — pisze Karpiński. Rozumiecie? Bardzo dobry chrześcijanin z najmocniejszą religją i najmocniejszą rozpustą jednocześnie. Spróbujcie to samo powiedzieć o jakimś chrześcijaninie z pierwszego wieku, a zobaczycie całą potworność tej płycizny, która cechuje u nas wielkiego historyka i znakomitego poetę, nauczyciela, urzędnika, studenta. Nikt się nad temi sprawami nie zastanawia i dlatego rzeczy wykluczające się nawzajem istnieją w mętnych umysłach obok siebie.

Brzozowski pisał o religijności polskiej słowa ostre, ale prawdziwe: „Żadne pogłębienia i uzasadnienia nie są polskiemu katolikowi potrzebne: to już należy do księdza. Polak wie, że msza się odprawia, że żona i służba chodzą do spowiedzi, że jest święcone i że przed śmiercią trzeba będzie o tem wszystkiem pomyśleć. Ignorancja co do właściwego przedmiotu wiary, dziejów kościoła i jego organizacji wprost nieprawdopodobna: a przecież ten martwy fakt przynależności do kościoła pozwala nie myśleć o całym szeregu kwestji, pozwala zbywać niczem, ot przeżegnaniem się lub zdjęciem czapki przy spotkaniu księdza, omijaniu kościoła. Czego nie zabija, od czego nie uwalnia ten jeden gest? Oto nie potrzebuję już kłopotać głowy różnemi filozofjami, truć sobie duszę wątpliwościami: przecież tam w kościele codzień na mszy dzwonią. I codzień po wszystkich kościołach odbywa się msza żałobna za setki tysięcy myśli nie rozbudzonych, sumień na wieki pogrzebanych. I te missa est!"

Ale Brzozowski był postępowiec i mógł być pisać zbyt ostro. Zobaczmy, co pisze wzorowy katolik Sienkiewicz. Czy dostrzegł on chrześcijaństwo w życiu? Czy widział je w statystyce kryminalnej, we współżyciu człowieka z człowiekiem? „Naród nasz — powiada Sienkiewicz — w olbrzymiej swej większości szczerze religijny, stoi jednak pod względem etycznym na stopniu bardzo niskim w porównaniu z ludami zachodniej Europy... Otóż jest rzeczą wielokrotnie zauważoną, że nawet ci chłopi, którzy na każdym kroku rozmijają się z przykazaniami Boskiemi i kościelnemi, wierzą jednak, uczęszczają do kościołów i praktykują. Dowodzi to niewątpliwie faktu, że wiara ich jest warstwą mechaniczną, polegającą jedynie na zachowywaniu pewnych przepisów (np. postów) i udziale w kościelnych obrzędach. Nie wchodzi ona w ich krew, nie przenika sumień, nie oddziaływa na ich czyny, nie rozgrzewa i nie rozświeca. Stwierdzam przytem na mocy własnej i cudzej obserwacji, że ta skostniałość wiary szerzy się coraz bardziej, i że religijność ludu, poniekąd z winy kapłanów, którzy zwracają zbyt wyłączną uwagę na *formy, nie na treść* — polega coraz przeważniej na mechanicznem tylko spełnianiu obrządków". — Mniej więcej to samo, co u Szujskiego: lud bardzo religijny, ale niemoralny, nieetyczny. Religijny, to znaczy obcujący z Bogiem. Jeżeli religja nie da etyki, to cóż ją dać może?

Należałoby jeszcze zacytować Szczepanowskiego, nie mówiąc już o Mickiewiczu, Towiańskim, Goszczyńskim, Wyspiańskim i Witkiewiczu, aby już na tej podstawie zbudować wniosek, że w sprawach religijnych nie mamy własnego zdania, a jeśli je mamy, to postępujemy w myśl zasady Dzieduszyckiego, że te rzeczy trzeba pozostawiać księżom, bo to ich rzecz. Rzecz prosta, że nie samym chlebem żyje człowiek, bo jest przedewszystkiem duchem, a duch żyje prawdą i prawdziwością. Nietrudno chyba zgodzić się, że uczciwy człowiek, przyznający się rzetelnie do swojej niewiary jest etycznie nieskończenie więcej wart od mydłka, który obyczajem Podfilipskiego trzyma zawsze z panującą większością. Stuletnia rocznica Tołstoja przypomina tych wszystkich olbrzymów, którzy wyrośli z Prawdy i żyli dla Prawdy. Gdy się czerpie z katolicyzmu francuskiego i niemieckiego, a nawet z angielskiego, to się dostrzega całą olbrzymią różnicę między katolicyzmem twórczym, a katolicyzmem biernym, między głębokiemi myślami Manninga, Newmana, Tyrella, Huegla, a naszemi obyczajami magicznemi. Ale dla dostrzeżenia tych rzeczy potrzebna jest praca umysłowa, studjum wytrwałe, porównywanie jednego z drugiem, rozmyślanie. Tymczasem przedstawiciele młodego pokolenia aż chrypną od krzyku, żeby im dać spokój z erudycją. Co najważniejsza wyobrażają sobie, że posiadacz encyklopedji pojadł wszystkie rozumy, a jeśli jeszcze ma jakiś słownik, to już mu nic nie potrzeba. Był taki pisarz gminny, który gniewał się na Sienkiewicza, że jest zarozumiały, bo się popisuje w swoich pismach znajomością łaciny i wtrąca słowa łacińskie.

Analizowanie przymiotów i wad własnego społeczeństwa, konfrontowanie ich i porównywanie, nie jest bynajmniej dowodem lekceważenia tego społeczeństwa. W artykule swoim „Anarchja w dzisiejszej poezji polskiej" wyrażam przedewszystkiem zdanie, że Polska zanadto była wrażliwa na wpływy obce, a nie doceniała siebie, swej własnej kultury. Nie jest to zresztą odkryciem mojem. Słowo o „pawiu narodów i papudze" nie powinno tak łatwo popadać w zapomnienie. Zresztą już Marcin Kromer wiedział, że Polacy „wolą dowiadywać się troskliwie o wynalazkach obcych, niż sami coś wymyślać i zgłębiać, gdyż niechętnie poświęcają się jednej jakiejbądź nauce lub sztuce, pragną wiedzieć wiele, choćby mniej gruntownie... Nie wiem, jak to się dzieje, iż troszcząc się o nabycie i pomnożenie wygody i ozdoby, niedosyć w tych wiekach są baczni na wykształcenie ducha i umysłu..." Jak widać ze starego roku wywodzi się młodzianek, zadąsany na erudycję.

Do komunałów należą fakty, że chrześcijaństwo, humanizm, reformacja, reakcja katolicka, oświecenie, romantyzm i t. d. szły do nas z zachodu. Dyskutant uprzejmy powinien wykazać, że tak nię jest, że kierunek jest inny, albo przynajmniej, że z Polski także wyszedł ruch równający się np. sile oświecenia albo romantyzmu, czy choćby pozytywizmu. Kopernik, Kochanowski — wielcy ludzie, ale gdy dyskutant stawia obok nich Wieniawskiego, to pobudza do czujności, czy aby sam zdaje sobie sprawę z wielkości Kopernika, skoro stawia w jednym z nim rzędzie Wieniawskiego, nie dodając nawet, czy chodzi o finansistę, czy kompozytora, czy skrzypka, czy pianistę. Albowiem Wieniawskich zna pogardzana erudycja kilku. Ale dyskutant macha ręką na wszystkich możliwych poturczeńców i deklaruje: „Chłop był zawsze chłopem polskim". Otóż takiej pewności nie ma pan Artur Górski np., bo przed dwoma laty zwrócił się do duchowieństwa, aby wynalazło dogmat patrjotyzmu, jako że lud polski wie, że jest katolicki, ale nie wie, że jest polski.

Możliwości kulturalne są w Polsce olbrzymie. Uczymy się wyjątkowo łatwo, każdy oświecony Polak zna jeden lub dwa, a czasem trzy i cztery języki obce tak dobrze, jak swój ojczysty, ale właśnie dzięki tej łatwości przyswajania import jest olbrzymi, eksport żaden. W technice jest mniej więcej tak samo. Aeroplan, radio, karabin maszynowy, Lux do prania rzeczy wełnianych, lepsze gatunki perfum, pończochy jedwabne i t. d., to są rzeczy nie wyrabiane na miejscu, podobnie jak nie były wyrabiane na miejscu wielkie prądy umysłowe od chrześcijaństwa aż do pozytywizmu i socjalizmu włącznie, nie mówiąc o faszyzmie i bolszewizmie, które znalazły gotowych naśladowców. Ano, tak to już jest, że „wolą troskliwie dowiadywać się o wynalazkach obcych, niż sami coś wymyślać i zgłębiać". Dyskutant krzyczy zachrypłym głosem, że własna kultura jest, a mianowicie Kopernik i Wieniawski... Zapewne, że jest, nawet z samym Kopernikiem, ale śmiem twierdzić, że mogłaby być o wiele, wiele wyższa. Jeśli ktoś twierdzi, że już jest szczyt i podnosi głos aż do chrypki, to ustępuje, nie dlatego, abym był przekonany, ale dlatego, że lubię rzeczowy argument, ale nie przepadam za krzykiem.

Dzisiejsza poezja z wyjątkiem dwóch trzech poważnych poetów, którzy posługują się słowem, aby głosić wielkie ideje, filtruje sobie ze słówek i słóweczek różne likwory i dekokty, nie posiadające żadnej wartości odżywczej. Są to poprostu demonstracje, że słowa można zestawiać dowolnie, i że niema tak bezsensownych zestawień, aby tam coś z tego nie wyszło. Talenty są, ale niebardzo wiedzą, co z sobą zrobić. Już sam fakt, że przy pomocy mniej lub więcej zgrabnych wierszyków chce się rozwiązywać kwestje społeczne, świadczy o dużem zanarchizowaniu umysłów. Kwestja społeczna jest bardziej zawikłana od mechanizmu zegarka. Jeśli wierszami nie można fabrykować zegarków, to tem mniej można niemi rozstrzygać kwestje społeczne. Chociaż u nas próbowano już w swoim czasie przy pomocy ubiorów i straszydeł zbawiać ojczyznę, przegapioną przez zdrowych ludzi. Historja się powtarza.

Polska poezja dzisiejsza, to ta nieuznana jeszcze. Walczy i wywalczy". To jest stanowcze, ale nie jasne. O co walczy i co wywalczy? Można walczyć o wiatrak i wywalczyć piernik. Pan Marjan Popiel nie umie jeszcze pisać prozą i nie umie czytać prozy. Gdzieś się w moim artykule doczytał, że żądam by poezja szła w kierunku antireligijnym i antikatolickim. Byłbym mu bardzo wdzięczny, gdyby mi wskazał, gdzie się tego doczytał. Inwektywy i podnoszenie głosu wybaczam mu jako niezawodne przyzwyczajenia. Mógł był zignorować mnie zupełnie i rozprawić się z faktami. Wolał faktom dać spokój i pokrzyczeć sobie na mnie. Można oczywiście i tak. Konstytucja mu tego nie zabrania.

P. Hulka-Laskowski.

MURARZE

Z dłonią, opiętą w sznurów sztywnie mądre piony,
Idziemy, stwardli dumą, do ciężkiego startu,
Jak sztandar nam trzepota darty wiatrem fartuch,
Przez kurz czerwony płynie, nieba uczepiony.

Radość nasza po męskich śmiało pnie się słupach,
Rośnie, gdy mu każemy, śliski ścian prostokąt
I leniwa, zła cegła, choć nie chce, nas słucha,
Coraz wyżej ostrożną, zimną stąpa stopą.

Chodzimy po rusztowań masztach, twardzi, dzielni,
Coraz wyżej las belek blado z nich się dźwiga,
Z dłoni nam wpełza w ściany syk wesoły kielni,
Krzyczy za nas zwycięsko nasz towarzysz, dźwigar.

Pod nami w dole płynie dachów zimna fala,
Dymy po wszystkiem łażą nudnie i grzywiasto,
W nas się marzenie wielkie, silne rozzuchwala:
W chmury wmurować nowe, lepsze, wyższe miasto.

Stąpamy, od plam biali, w biednych ubrań resztkach,
Przez wytężone wstęgi, z pyłu mdło uwite,
Prowadzi nas labirynt o niezdarnych ścieżkach,
Tęsknota pustych okien patrzy w nas błękitnie.

Włochaci, źli, spoceni, spici blado pracą,
Leziemy, a za nami nogi, czy są obie?
I oczy nam czerwonym miałem wiecznie płaczą,
Myśli przez kurz zlatują do ulicznych kobiet.

A czasem ktoś z nas runie, ranny wiatr go strąca
I w ręce błękit chwyci, potem go wypuści
I poleci, z rąk czyniąc gwiazdy spadające.
Na ostatni, krzykliwy, ostry bruku uścisk.

Wtedy w nas wszystkich staną wystraszone serca,
Lęk nagle nagie ręce od pracy oderwie....
I znów drżą ściany zimno, świder się w nie wwierca,
Znowu w nas patrzy cegieł natarczywa czerwień.

Stanisław Maykowski.

Z TRYLOGJI BOHDANA LEPKY'EGO — „MAZEPA"

GABRJEL MIKOŁAJEWICZ

— ...A jabym go, sukinsyna, po mordzie i po mordzie, i jeszcze raz, i jeszcze, i dziesiąty, a wtedy knutem razy dwadzieścia, albo i więcej, ażeby on, sukin syn, wiedział, że na wojnie koń, to rzecz najważniejsza i najcenniejsza!

— A jak zabijesz?

— Nu, to co? Iwan Piotrowicz dienszczika za sobakę zabił. Tak i trzeba. Sobaka stworzenie nieme. Poskarżyć się nie umie. A on, herod bezsumienny, mięso dla pieska przeznaczone, sam zżerał, a pieska wodą ze sucharami karmił. Podglądnął to Iwan Piotrowicz i — zabił.

— Car, jego miłość, za kanarka lokaja własną ręką zakłóć raczył.

— Nu, da... da.

Popijali wino z piwnicy dziedzica, zakąsywali gęsiemi wędzonemi nóżkami, których w śpiżarni całe setki na sznurkach wisiały, palili fajki, nabijając je tytoniem ze skórzanego worka dziedzicowego i wąchali tabakę, tartą z oleandrowemi listkami, którą tutejszy dworzecki według jakiejś starej recepty wcale smacznie umiał przyrządzać.

Dokoła nich prócz ścian, sufitu i podłogi w kwadry, był tylko gdański stół dębowy i dwie rzeźbione ławy, resztę już służba księcia Aleksandra Daniłowicza Mienszykowa według jego rozkazu wywieść zdołała.

— Nu, da... Ja miałem również jeden bardzo ciekawy wypadek. W majątku moim charcica Wierna sześcioro szczeniąt mi zrzuciła i zdechła. A szczeniaki były nadzwyczajne: same białe, mordeczki szpiczaste, ogonki długie, wprost — rozkosz! Nie damże ja wam głodową śmiercią zdechać, — pomyślałem i odstawiłem dwie baby, co właśnie w połogu leżały, tęgie, mleczne, — karmcie!

— I karmiły?

— A jakże! kwas im pić dawały szelmy. Pomyślcie — kwas!

Dwa więc zaraz pierwszego tygodnia zdechły, reszta — skóra i kości.

— Skóra i kości!

Nie charciki, a powiadam wam, prosto jakieś deszczółeczki powystrugiwane... Kiedy mi to doniesiono mało się nie rozpłakałem. Przypomniała mi się nieboszczka Wierna, rącza, chwytna, posłuszna i powiedziałem sobie tak: aby tam nie wiedzieć co, a ja dziatkom twoim z głodu zdechać nie dam. Kazałem związać szelmy baby, przyłożyć pieski do piersi i — już!

— Nu — da, da...

Do izby wpadł feldwebel. — Wasze „wysgorodie", nasz patrol dwoje Czerkasów[2]) na drodze do Czeplejówki schwytał!

— Do Czeplejówki? Tam teraz Szwedzi i Mazepa stoją.

Pewno mazepińcy. Dawaj ich tu!... Albo nie... Jego przesłuchaj sam, „z namiętnością"[3]), a ją przyprowadź do nas... Czerkaski ładne bywają...

[1]) Przekład polski autora.

[2]) Tak Moskale przezywali Ukraińców.

— A ta to nawet bardzo.

— Mówisz?

— Niesamowicie piękna. Cud baba.

— Dawaj ją tu! Prędko!

Trzech dragońskich oficerów carskich wychyliło jeszcze po jednym puharze węgrzyna zacierając ręce z niecierpliwości. Dokąd nie przyszli, wszędzie tylko baby leciwe i nieletnie dziewczątka zastawali, a dziewki i mołodyce, niby w tym kraju wymarły. Pochowały się bestje, jak przed Tatarami.

Przyprowadzili Odarkę.

Była w kożuchu, okręcona chustką, ale zpod chustki świeciła para oczu blaskiem nadzwyczajnym. Równy, cienki nosek sterczał wyzywająco, blade policzki nalewały się rumieńcem.

Oficerowie trącili się łokciami.

— Niczego...

— Nu, da...

— Tak oto ciebie na karygodnym zamiarze przyłowiono, — począł komandant pułku.

— A to na jakim? — spytała niby zdziwiona.

— Do zdrajcy hetmana z mężem przedzierałaś się, o ruchach wojsk naszych donieść chciałaś... Znaczy się — szpieg.

— Nikogo ie szpieguję, nie rozumiem waszej mości, — odpowiedziała.

— Głupią udajesz. Chachły naród chytry, chachłaczki jeszcze chytrzejsze od mężów. Zrzucaj kożuch!

Odarka nie śpieszyła się.

Dwóch młodszych oficerów zdarło z niej kożuch z lubością dotykając się ciepłego, kobiecego ciała.

W pełnym blasku nadzwyczajnej piękności jawiła się ich oczu, aż z przerażenia zdrętwieli.

Niezaspokojona żądza i winem podniecona wyobraźnia zwierzęce instynkty w nich budziła, ale w piękności Odarki było tyle wprost jakiegoś nadludzkiego uroku, że blask tej piękności oślepiał ich i odstraszał, jak niedźwiedzi blask ognia.

— Widzisz ją jaka! — krzyknął komandant i zaciął się, nie wiedząc, co ma dalej mówić. Tylko mlaskał od wina zdrętwiałym językiem.

— Widzisz ją jaka! — powtórzył, — a udaje głupią. Nie bój się nie odurzysz!

— Z całej powierzchowności wnosić można — począł adjutant, — że nie z prostych ona.

— Może setnikowa, — podchwycił drugi, — albo nawet przebrana pułkownikowa. Takie rączki malutkie, taka płeć! — oczy mu mgłą zaszły.

— Chutorzanka jestem, — zaprzeczyła Odarka — mieliśmy chutorek[4]) za Wirkami, Orłówka, możeście słyszeli?

Przed Szwedami za Desnę po kruchym lodzie z mężem przeprawialiśmy się, ażeby duszy Lutrowi nie oddać, — i oto schwytano nas, — kłamała, opowiadając zgóry obmyślone przygody.

[3]) „Z prystrastiem" — taki był urzędowy termin na przesłuchanie z biciem i dręczeniami.

[4]) Niby folwark na Ukrainie.

Trzy pary rozpalonych oczu zasadzały się na nią, czaiły, jak żbiki na sarnę, ot — ot, — rzucą się i — pożrą.

Komendant swojemi tamtych na uwięzi trzymał. Przyglądał się jej z lubością, z zachwytem, jakiego nie doznawał nigdy.

— Panowie! — począł naraz, — sprawa draźliwa, ręce po szwam!

Dreptał po izbie, szukając urzędowych papierów.

Ręce mu drzały, z ust kapała ślina. Trzeba protokół pisać według punktów i według przepisów „pochodnej kancelarji", — wycedził urzędowym tonem.

Tamci zgłupieli... teraz?... pisać?

— Czegoście na mnie ślepie wytrzeszczeli? — wrzasnął komendant. Jak powiadam, że trzeba, to trzeba! — Ale nie utrzymał się w urzędowym tonie, przystąpił do Odarki i pod brodę ją pogłaskał: „ładna!"... Naraz, niby coś sobie przypomniał, „Do żydówki mi podobna jesteś, do ładnej żydóweczki", — oświadczył.

Zamiast odpowiedzi, zaczęła odmawiać — wierzę.

— „Nu dosyć, dosyć! — usta jej dłonią zatulał. Dosyć!

A wy, panowie, to jest, ty Aleksy Daniliczu, pójdziesz na kontrolę wart, a ty, Piotrze Aleksijewiczu, weźmiesz pół roty i pięć wiorst w kierunku Czeplejówki na rekonesans pojedziesz, — zrozumieli?

Niby w nich piorun uderzył.

— Gabryelu Mikołajewiczu, — jak że tak? — krzyknęli obydwaj naraz.

— Będzie jak komendant każe, — odpowiedział dygocąc.

— Pili wino, towarzyski dyskurs wiedli, aż naraz rekonesans, niby już drugich oficerów w pułku niema.

— Małczat' i nie razgawariwat'! Paszoł won!

— Towarzyski dyskurs i paszoł won?! — charknęli. Ale komendant rzucił się na nich, jak zwierz, któremu zdobycz chcą odebrać. — Ja was pod sąd polowy postawię, za nieposłuch, za sprzeciwienie się władzy. Ja was... — i chwycił pistolet.

Tamci byli bezbronni.

Wyszli, jak psy, wziąwszy pod siebie ogony.

NA MARGINESIE

Nad czem pracują? Or-Ot wykańcza dwie sztuki, obie wierszem, komedje, *Anusię z Powiśla* i *Filipa z Konopi* (wiek XVI), wydaje niebawem tom poezji p. t. *Kochaj Żołnierza* z ilustracjami Wojciecha Kossaka, wykańcza tom poezji p. t. *Tajemnice*, wreszcie zajęty jest przygotowaniem do druku trzech następnych tomów swego wydania zbiorowego (trzy już wyszły). *Ossendowski* pisze cykl powieści historycznych z życia polskiego. Pierwsza z nich, to *Karta z dziejów wojska Lisowszczyków*, druga z XIII wieku, — zakończona bitwą pod Lignicą. Wreszcie powieść o powstaniu listopadowem — cykl *Dzieje jednej rodziny*, — potomkowie której działają później na Syberji i w Ameryce Północnej. W najbliższych dniach Ossendowski jedzie z odczytami do Czech, następnie dla studjów archiwalnych do Paryża i Londynu. *St. Baliński* wykańcza tom prozy p. t. *W Persji*, znaczniejszej objętości, *St. Wasylewski* przygotował już do druku *Rozmowy Stanisława Augusta*, *H. Naglerowa Matową Kresę* (zbiór nowel), *J. Dąbrowski* pracuje nad wielkiem studjum o St. Żeromskim, *J. Tuwim* ma niebawem już oddać do druku tom wierszy p. t. *Rzecz Czarnolaska*, L. Staff przygotowuje prozę p. t. *Drugie Oko Polifema*, *Maykowski i Balicki* mobilizują całą współczesną prozę i poezję do trzeciego tomu podręcznika dla młodzieży (dwa wyszły, — Kraj lat dziecinnych i Będziem Polakami), *Kleiner* wyda niebawem *IX tom* swego *Słowackiego*, *Strug* pracuje nad powieścią z wielkiej wojny światowej.

* * *

Komitet budowy pomnika Orzeszkowej w Grodnie przeniósł odsłonięcie tego pomnika z miesiąca września na maj roku przyszłego. O ile nam wiadomo komitet ów pozostaje w bardzo wątłym kontakcie z organizacjami literackiemi. Braki w tym względzie należy stanowczo wyrównać: Odsłonięcie pomnika Orzeszkowej winny obesłać wszystkie organizacje literackie polskie. Zawiadomione zawczasu winny przygotować się odpowiednio do tej uroczystości. Aby z uroczystości tej pozostało nietylko piękne wspomnienie, lecz odpowiednie prace pisarzy, poświęcone wielkiej autorce, a wygłoszone na uroczystościach grodzieńskich.

* * *

Dobrze i źle, że młodzi pisarze wzięli, czy też stopniowo, dzięki inicjatywie Roju, biorą w swe ręce przekłady z literatury zagranicznej. Niebawem mają ukazać się w Roju: Girodoux (Bella) w przekładzie Kuncewiczowej, Morand (Żyjący Budda) w przekładzie Iwaszkiewicza, H. Hesse (Steppenwolff) w przekładzie J. Wittlina, T. Mann (Zauberberg) w przekładzie J. Kramsztyka, Undset (Krystyna, Córka Lawransa) w przekładzie młodej poetki W. Kragen, Gide'a (Fałszerze) w przekładzie Balińskiego i Iwaszkiewicza.

Dobrze i źle: Dobrze, — gdyż nazwiska młodych prozatorów są poniekąd gwarancją zapału, talentu i sumienności pracy. Źle, — gdyż zaiste, szkoda jednak czasu tych młodych, utalentowanych sił na przekładową orkę.

Udało się nam dostać w odbitkach przekład Bernanosa (Pod słońcem Szatana), zrobiony przez A. Wata. Poza kilkoma interpretacjami słów, co do których można się spierać, — przekład świetny, oddający styl, ciężki żylasty styl francuza w sposób tak suggestywny, iż rzecz sprawia wrażenie pisanej po polsku.

Ileż pracy musiał był poświęcić Wat na opanowanie tej prozy? Czyż nie byłoby lepiej, gdyby ów czas poświęcił własnej prozie? Błędne koło przezacnej potrzeby zarobku, — młyński kamień tłomaczeń, kamień,

pod którym w tak ciężkich warunkach dzisiejszych ugina się bezradnie młode, średnie i stare pokolenie pisarzy i poetów naszych.

* * *

Drukowana potworność znajduje się na str. 28, broszurki R. Minkiewicza p.t. „Klika Warszawska O.K.R.P.P.S. kiewicza p. t. „Klika Warszawska O. K. R. P. P. S. Rozprawy p. R. Minkiewicza z „kliką warszawską" niby nas na tem miejscu nie obchodziły, styl owych rozpraw nie rości sobie pretensyj do walorów literackich. Niepodobna jednak pominąć milczeniem napaści na człowieka, który nie może bronić się, gdyż już nie żyje.

P. R. Minkiewicz pisze na stronicy 28: „Zrozumiałem jest, że nie ma klika żadnych wstrętów moralnych w zawieszaniu w lokalach dzielnicowych, na „honorowem" miejscu, portretów usuniętego z partji, spijaczonego i złajdaczonego fałszerza weksli". Tego samego człowieka wymienia p. R. Minkiewicz na stronicy 21 z pseudonimu partyjnego.

Człowieka tego pamięta całe pokolenie ludzi, kierujących dziś nawą państwową. Działacz ów od wielu, wielu lat pracował ofiarnie i mężnie jako socjalista nad odzyskaniem Niepodległości Polski. W chwili wybuchu światowej wojny szedł razem z pierwszymi legjonistami Piłsudskiego do b. Królestwa. W czasie ciężkiej okupacji niemieckiej pracował nad wyraz ofiarnie w tutejszej konspiracji. W Polsce Niepodległej piastował urząd posła Rzeczypospolitej.

Czy można u nas bezkarnie szargać pamięć zasłużonych ludzi?!

* * *

Zjazd wszystkich organizacji literackich w Wilnie zapowiada się bardzo poważnie. Zgłosiły już do tego zjazdu swój akces Związek Autorów Dramatycznych, Związki Zawodowe ze Lwowa, Poznania, Warszawy, Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów, PEN-Klub (sekcja polska, Warszawa)). Podobno są trudności w nawiązaniu kontaktu z krakowskim Związkiem Zawodowym, nie posiadającym ustalonego miejsca zamieszkania.

Wileńczycy biorą się do dzieła pod przewodnictwem prof. Pigonia, ustalając rozważnie program prac, z drugiej strony przepracowując sumiennie techniczną część zjazdu.

* * *

PEN-Klub warszawski uchwalił ostatnio dwie nagrody w wysokości 1000 złotych każda za najlepszy przekład polskiego utworu na język obcy, oraz obcego dzieła na język polski. Inicjatywa nader słuszna, nietylko ze względu na zachętę, jaką stanowią tego rodzaju nagrody, lecz także na akcję pewnego ogniskowania wysiłków przekładowych, dotyczących naszej literatury. Jak dotąd panuje w dziedzinie tej chaos i całkowity brak organizacji. Ukazują się w przekładach rzeczy, już kiedyś tłomaczone, dzieła obce natrafiają niejednokrotnie na tłomaczy zupełnie niekompetentnych. Konieczność zebrania całego dorobku z tej dziedziny, gwoli rozstrzygnięcia pierwszeństwa wpłynie z pewnością normatywnie na stan sprawy przekładów.

Gdy mowa o przekładach, trudno nie wspomnieć ostatnich sukcesów Ossendowskiego w tej dziedzinie: „Niewolnicy Słońca" ukazali się w siedemnastu językach, „Nowele Japońskie" Ossendowskiego wyszły już po angielsku, hiszpańsku, włosku i niemiecku, „Orlica" — po włosku, niemiecku i francusku.

* * *

Leureatem nagrody m. Lwowa został w tym roku znany we Lwowie poeta, Henryk Zbierzchowski.

Nagroda m. Lwowa w odróżnieniu od nagrody m. Warszawy (laureaci: Władysław Mickiewicz, Wacław Sieroszewski, Kazimierz Przerwa-Tetmajer) udzielana jest z punktu widzenia regjonalnego. Lwów, jak dotąd, nagradzał wyłącznie swoich poetów (Rossowski, Zbierzchowski), swoich historyków-kronikarzy (M. Rolle).

Lwów, jedyny w Małopolsce ustanowił nagrodę literacką. Kraków, kolebka Wyspiańskiego i Młodej Polski wciąż milczy i nagrody literackiej nie ustanawia.

jkb.

LITERATURA I MUZYKA

II

Ronsard zalecał poetom znajomość rzemiosł. Mądra troska jego wiedziała, jak łatwo poeta może zatracić poczucie realności, techniki realnego bytu i jak łatwo może znaleść się w rozrzedzonem powietrzu abstrakcji. Myśl, że poeta musi umieć chwytać także procedery życia codziennego i nie szukać narzędzi swego warsztatu tylko za pośrednictwem papieru, myśl ta ma dalszą genealogję. W powieści biegnie ona wciąż dalej i okazuje się najwyraźniej zdobywaniem nowych tematów. Naukowe ambicje powieści naturalistycznej, ścisłość psychologji, nowe zjawiska socjologiczne, postępy techniki, kraje obce — wszystkie strony życia widziane we wszystkich zakątkach świata — oto obraz dzielnej walki o temat. Jak zdobywały literatury temat muzyczny?

W powieści romantycznej francuskiej muzyka zjawia się nieśmiało, epizodycznie, raczej jako dekoracyjny szczegół niż jako świat umysłowości. V. Hugo, Lamartine, G. Sand każą wierzyć swemu czytelnikowi, że pięknie śpiewają Esmeralda, Graziella, Consuelo, — czasem ktoś zagra walca Straussa, czasem pasterz zaintonuje pieśń na szałamajach, — ogólnie przyznaje się muzyce wielką władzę, ale bez zainteresowania autorów źródłem tej władzy. W powieściach pojawia się imię Chopina, Liszta, dla nadania środowisku pewnego poloru światowego, — wreszcie zawód kompozytora wydaje się Balzakowi dość już interesujący („Kuzyn Pons"). Ale na szersze traktowanie tematu muzycznego nie może się jeszcze zdecydować nawet muzykalny Stendhal, sam biograf Haydna, Mozarta i Rossiniego.

Jeżeli powieść romantyczna okazuje dla istoty muzyki obojętność, jeżeli poezja Parnasistów buduje meta-

sique et Littérature", z komunji wiersza i tonu powstaje francuska pieśń artystyczna. Teraz już i sama muzyka wchodzi do powieści (Huysmans, Zola, Villiers de l'Isle-Adam), a u niektórych autorów staje się ona „królową wewnętrznego życia" ,Amiel, Rod). Jeżeli Romain Rolland wypowiada zdanie, że wojna 1870 r. obudziła we Francji muzykę, to jego „Jan Krzysztof" jest już odbiciem się tej muzyki w powieści.

Abel Hermant mówi w „La Discorde" — że „dziś każdy przyzwoity człowiek jest z muzyką obeznany". Autorowie francuscy potrafią nietylko traktować temat muzyczny umiejętnie i swobodnie, ale posługiwać się niekiedy procederem z muzyki zapożyczonym. Dawna idea Ronsarda, że dobrze jest poecie znać rzemiosła, objęła dziś także rzemiosło muzyczne — Proust potrafi już używać „leitmotiwu"! Ten sam Proust, który nie dba o muzykalność frazy i o melodję prozy, posługuje się muzyką z wirtuozostwem, do którego jeszcze wypadnie nam powrócić bardziej szczegółowo.

Francuz ma umysł jasny, analizujący, doskonale rozróżnia rodzaje i gatunki literatury, klasyfikuje je świadomie i subtelnie. Nigdy też gatunki literatury nie były tak jasno określone, tak wyraźnie od siebie odgraniczone jak w klasycyzmie francuskim, Złoty wiek jasności i logiki, język oddaje myśl dokładnie, ściśle i zupełnie! Ale myśl samą, nieowiniętą w mgłę przydźwięków, niewystąpującą w otoczeniu świty znaczeń, bez orszaku symbolów. W tem też znaczeniu André Gide nazywa język francuski „klawiaturą bez pedału" — porównanie nietylko finezyjne ale i w analogje bogate: gra fortepianowa bez pedału okazuje stopień uczciwości klawiatury, nieumiejętna pedalizacja wprowadza ten nieopanowany chaos, który jest sam już zaprzeczeniem sztuki, — z drugiej strony zupełne nieużywanie pedału może spowodować grę niegładką i suchą. „Pedał" w znaczeniu literackiem, w jakiem go używa Gide, oznacza *rezonans znaczeń*, nieściśle myślą objętych. W tym sensie języki i literatury germańskie i słowiańskie są bardziej syntetyczne. Zwłaszcza umysłowość autorów niemieckich jest bardziej złożona, talenty i gatunki literackie występują częściej „w stanie połączonym" a gatunek w sobie ściśle zamknięty, oddzielny — „le genre tranché" jak mówił Napoleon — zjawia się rzadziej.

Poeci niemieccy byli zawsze prawie równocześnie i powieściopisarzami i dramaturgami, malarstwo niemieckie lubiło moralizować, a moraliści byli równocześnie metafizykami. Nie jest to też przypadkiem, że w Niemczech, gdzie zrosty poszczególnych talentów zawsze były częste, powstała teza o jedności wszystkich sztuk, o sztuce „integralnej", jednej pod różnemi tylko postaciami.

Idea ta jest bałamutna z punktu widzenia estetyki czystej, niemniej pojawienie się jej jest psychologicznie równie charakterystyczne jak powagnerowska estetyka o „muzyce jako wyrazie", jako „przeżyciu". Zawsze ogólna tendencja niemieckiej estetyki skłania się do pojęcia muzyki na usługach — „ethosu", religji, metafizyki; do pojęcia jej jako jakiejś moralnej sztuki stosowanej. Dlatego też cały romantyzm niemiecki był przepojony muzyką i mistyką.

Na takiem tle, francuskiem tu, niemieckiem tam, rysują się też koncepcje przeciwne, opozycyjne, — kontrasty ze środowiskami. Np. francuz Berlioz pierwszy pisze symfonje opisowe, a więc świadomie sprzęga samoustrój formy muzycznej z tematem literackim. Po nim Debussy, wprawdzie nazywa muzykę „sztuką wolną", ale sam jest bardzo literacki i wiele natchnienia czerpie z poezji symbolicznej.

Naodwrót, w Niemczech, równocześnie z ruchem wagnerowskim powstaje definicja muzyki, jako „ruchu form dźwiękowych". — Ale te zjawiska na tle swych środowisk wyjątkowe, nie zmieniają ogólnego stanu rzeczy: muzyka francuska szukała oparcia w literaturze, długo i długo bez wzajemności — podczas gdy muzyka niemiecka o wiele prędzej znalazła to oparcie w literaturze niemieckiej. Stwierdzenie to oczywiście nie ma bynajmniej przesądzać ogólnej wartości obu literatur.

* * *

Szkoła lubi klasyfikować dzieło literackie według zawartego w niem poczucia przyrody, idei religijnej, perspektywy etycznej i t. d. W ostatniej książce krytyka André Coeuroy „Musique et Littérature" autor pyta: „Czy ważne tematy literackie nie urodziły się z muzyki? czy wprowadzenie ich nie ma doniosłości psychologicznej i wpływu na inne literatury? czy w muzyce nie znajdują się bardzo cenne środki charakteryzacji pewnej rasy albo epoki?".

Jeżeli krytyka troszczy się o pierwiastek religijny, albo o stosunek do przyrody w jakiemś dziele literackiem, to dla czego nie miałaby się zajmować metodycznie i z korzyścią istnieniem poczucia muzykalnego u literatów?" Książka ta wskazuje literatom konsekwentnie, systematycznie i na przykładach, że muzyka i jej świat kryją dla literatury wartości, któremi nie należy gardzić; muzykom, że literatura nie jest wieżą z kości słoniowej; ogółowi przypomina, że muzyka nie pozostaje na rubieży dziedziny umysłowej, że wreszcie najszlachetniejsze poszukiwania inteligencji idą w kieruku wzajemnego zbliżenia się sztuk; że doktryna o sztuce „integralnej", o wzajemnem oddziaływaniu wrażeń, zjawiska poetów-muzyków i kompozytorów-literatów — są *powszechne* a ich studjowanie jest potrzebne dla wykazania jedności duchowej. Coeuroy nie jest filozofem, nie szuka syntezy naukowej ale chce okazać w swej pracy problem interesujący i wielostronny.

Muzyk-literat w jednej osobie, jest dla Andrzeja Coeuroy zjawiskiem „powszechnem". Nie możemy się znów *u nas* w Polsce uskarżać na tak zbytnie rozpowszechnienie jego, aby nietylko nie przyjrzeć się z korzyścią przykładom zagranicznym, ale nawet zrobić błyskawiczny ekskurs poglądowy w przeszłość, szukać literata-muzyka w historji, może z celem trochę praktycznym...

Niech nas nie odstraszają przykłady odwrotne np.: Montaigne stawia muzykę w rzędzie zabaw; Fénélon jej nie znosi; Kant odmawia jej znaczenia, nawet niemal sensu; wreszcie sam przedmówca książki Andrzeja Coeuroy, Maurycy Barrès nie tai swych zastrzeżeń, co do „wzajemnego zbliżania się sztuk". „My literaci — mówi Barrès — mamy zadanie wypowiadać myśli jasno i z wyraźną plastyką, słowem uczynić zrozumiałą tę tajemnicę która mruczy wokoło nas". — Takie koncepcje zawsze

istniały i będą istnieć. „Czy sztuki *mają* być oddzielne czy *mają* się łączyć" — tak wyglądało zagadnienie dawniej. Dziś stawiamy sprawę inaczej: są siły działające w kierunku zbliżenia sztuk, są i przeciwne, — grawitacji sztuk ku sobie odpowiadają opory i wręcz siły rozbieżne. Są wreszcie wieczne nieporozumienia jak niechęć do muzyki ludzi zupełnie niemuzykalnych, niechęć od literatury ludzi *tylko* muzykalnych. Co muzyka jak i literatura, każde w odosobnieniu, w swoim tylko własnym zakresie zdziałać potrafi, to stanowi ich tytuły chwały już dawno uznane. Zwłaszcza muzyka abstrakcyjna — nieopisowa, nieilustrująca, nieliteracka, muzyka nie potrzebująca dla swych najwyższych i najbardziej typowych przejawów pośrednictwa *pojęć*, działająca tylko własną substancją, w istocie swej tajemniczą, — dźwiękowa abstrakcja, pogardzana przez niemuzykalnych intelektualistów, jest raczej dowodem szczególnej wyższości muzyki nad innemi sztukami, — wyższości tylko nie każdemu zrozumiałej.

Jak z fenomenami temi rozprawiali się literaci czujący muzykę, to jest kwestja zawsze i zawsze na nowo pasjonująca.

K. Stromenger.

NOWOCZESNA MONOGRAFJA HISTORYCZNO-LITERACKA

Książka profesora Dobrzyckiego *) wydana skromnie, bo nakładem autora, zasługuje na to, by ją jaknajszerzej rozkolportować. Autorowi udało się bowiem zaspokoić już oddawna wyczuwany brak monografji historyczno-literackiej, obliczonej na potrzeby kulturalnego czytelnika niespecjalisty.

Utarło się u nas przekonanie, że historja literatury, jest wyłączną domeną filologów. Tylko bardzo nieliczni badacze dziejów kultury literackiej starali się o nawiązywanie bezpośredniego kontaktu między różnemi przejawami ogólnej narodowej kultury. Historja literatury w dotychczasowem, wyosabniającem ujęciu, przestawała zajmować ogół inteligentnych czytelników. Wiedza nasza o literaturze stała się zdumiewająco małą. Przeciętny inteligent wie jeszcze coś niecoś o romantyzmie, ściślej mówiąc o wieszczach. A i ta wiedza posiada specyficzny pozanaukowy charakter. Jest w gruncie rzeczy raczej literacką mitologją, a nie pragmatycznie powiązanym zespołem poznanych faktów.

Żalił się niegdyś na te opłakane stosunki St. Brzozowski. Walczył jak mógł z profesorskim „kantem", ale w epoce Brzozowskiego istotnie trudno było przeprowadzać zasadnicze rewizje. Ów najgroźniejszy dla naukowego objektywizmu — patrjotyczny moralizm, znajdował karm w rozpaczliwej walce o niezależność duchową. Zasadnicze „odciążenie" odbywa się dopiero dziś w okresie rozbudowywania niepodległego na świat poglądu. Ma się rozumieć, jeszcze całe pokolenie będzie się źle uczyło, będzie się borykało z przedwojennym pozanaukowym moralizmem.

Czeka nas żmudna, trudna praca rewizyjna, nie tylko w odniesieniu do romantyzmu. Trzeba będzie zupełnie na nowo przemyśleć: epoki humanizmu i reformacji; zepchnięty na szary koniec barok polski, przeidealizowane czasy reformy Stanisławowskiej. Jednem słowem, trzeba będzie na miejsce takich czy innych sympatyj i antypatyj, odważnie wprowadzić inny twórczy sprawdzian — intelektualnego traktowania realnie poznawanych faktów.

Współczesność monografji Dobrzyckiego polega właśnie na jej rozumności. Autor zupełnie celowo prowadzi swą opowieść dwufazowo. Przy rozpatrywaniu każdej epoki, przedewszystkiem wnikliwie analizuje fundamenta społeczno-kulturalne; podkreśla konfigurację polityczną, zestawiając polskie stosunki prawno-polityczne z innemi im współczesnemi. A uzyskawszy dopiero na takiem przemyśleniu, istotne tło i podścielisko, rzuca garść faktów ściśle literackich. Stale ma przed oczami cel — wyjaśnienia przebiegu kulturalnego. Jasno postawiony cel, stanowi zarazem też wyraźne ramy zakresowe. Chce dać obraz rzeczy najważniejszych, dominujących, znamiennych. A gdy w końcu rozdziałów dorzuca garść faktów drugorzędnych, lecz mniej charakterystycznych, to te nowe, mało znane nazwiska, nabierają waloru niezbędności.

Dopiero w takim kontekście, każde nazwisko zaczyna coś mówić, zaciekawiać, interesować. Książka była obliczona dla tych, co po raz pierwszy mają się zapoznać z polską historją literatury, czy historją kultury — dla cudzoziemców. Cudzoziemców wysokiej klasy kulturalnej, dla których potrzebna była przecież cała monografja, a nie... publicystyczna synteza. Licząc się z krytycyzmem swych czytelników, autor nic nie stara się wybielać czy wyczerniać, naciągać czy podciągać. Nie pozwoliłoby mu też na to i własne subtelne, logiczne sumienie. Sam będąc z natury intelektualnych nastawień, raczej pozytywistą i realistą, wierzy, że przekonać cudzoziemca można jeynie prawdą, a nie robionym patrjotycznym patosem. Chce być jedynie rzetelnym informatorem: wnioskowanie pozostawia czytelnikom.

I rzecz znamienna, tak postawiona monografja dla obcych, bardzo ważkie usługi oddaje swoim.

Może trochę dłużej zatrzymałem się na wstępie, nad zagadnieniem potrzeby rewizji metodologicznej, właśnie dlatego, by uwypuklić znaczenie omawianego dzieła.

My, współcześni, uniezależnieni wolnością, do pewnego stopnia przypominamy tych kulturalnych cudzoziemców. Jeżeli nie potrzebujemy na nowo poznawać faktów, niemniej zupełnie na nowo musimy te fakta zestawiać, segregować i hierarchizować; na nowo musimy się uczyć literackiej syntezy, mając mniejszy lub większy zakres odrobionej analizy.

I nam nic nie pomoże przedwojenny moralizm. Najpiękniejsze, najwznioślejsze konstrukcje, dziś już nie wytrzymają próby realnego przeżywania aktual-

*) Stanisław Dobrzycki: Historja literatury polskiej. Tom I Literatura Polski niepodległej w Poznaniu 1927. Nakładem autora.

ności. A zresztą, jedną z podstawowych zdobyczy wolnego na świat poglądu, jest też realne wyznaczenie zakresu oddziaływania literatury, jako takiej. Literatura przestaje być integralnym przejawem życia duchowego, zastępczynią filozofji, historji, religji.

Pod tym względem też dość szybko się europeizujemy. Ale może właśnie dlatego, że literatura zaczyna być wreszcie tem, czem być powinna, częścią a nie całością, czy surogatem całości, budzi się prawdziwsze, rzetelniejsze zainteresowanie dla jej dziejów. A co ważniejsza, dopiero wobec takiego współczesnego traktowania zjawisk literackich, one same nabierają istotnie wychowawczego znaczenia.

Dla Brzozowskiego i tych wszystkich, co probują, jak on, przemyśliwać nad literaturą, jej dziejami, one to właśnie stanowią obraz charakterjologji narodowej, a co za tem idzie, jeżeli jaka dziedzina historji, może stanowić naprawdę „mistrzynię życia", to właśnie — tak pojmowana historja literatury. Monografja Dobrzyckiego, nie była pisaną dla specjalistów. Miała być monografją w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu — popularną.

A przecież wydaje mi się, że powinna być przeczytaną i przemyślaną przez specjalistów. Dla nas, jest ona punktem wyjścia, dla ściślejszych badań; dla nich może stać punktem wyjścia dla koniecznych rewizyjnych dociekań.

Istotnie bardzo ważkim czynem kulturalnym jest skromna praca poznańskiego profesora, gdyż zaspakaja jedną z palących potrzeb naukowych i kulturalnych zarazem.

R. Blüth.

Z NIWY POLONIKÓW

Czekają na książki...

W ostatnim numerze „Mercure de France" porusza p. Zygmunt Zaleski, stały sprawozdawca literatury polskiej w tym jednym z najpoważniejszych perjod[illegible] literackich paryskich, przykrą dla nas sprawę zdarzających się zaniedbań wydawców w wysyłaniu egzemplarzy recenzyjnych pod adresem polskich krytyków, zagranicą zamieszkałych i informujących stale czytelników obcych o postępach polskiej literatury.

Wszak tych krytyków nie tak wiele znowuż zagranicą posiadamy. Na palcach ich policzyć można. Obowiązek dostarczania im materjału do tych rubryk „Lettres polonaises", „Echos de Pologne" itd., które o tyle tylko warte są jakiegoś wysiłku ze strony recenzenta, o ile często i systematycznie mogą się ukazywać, — powinien by być lepiej rozumiany przez wydawców krajowych.

W braku widocznie odpowiedniego materjału recenzyjnego, poświęca nasz krytyk powyższą „Lettre polonaise" swoją ogólnej ocenie twórczości S. Przybyszewskiego, zaznaczając jej rolę ekspansywną — w Niemczech, w Rosji, w Bułgarji, a zwłaszcza w Czechosłowacji.

Napoleon o Polsce

„Revue de deux mondes" od pewnego czasu drukuje ciekawe niezmiernie wspomnienia Caulaincourt'a, który towarzyszył cesarzowi w drodze z Moskwy do Francji, i wśród wyjątkowych kłopotów i trudów tej jedynej w historji świata podróży zakonspirowanej znalazł czas na notowanie wynurzeń towarzysza jazdy monotonnej, który czynił niejako rachunek sumienia z całej swej bajecznej karjery. Ostatnio, w numerze wrześniowym, zanotować należy melancholijne wyznanie Napoleona o błędnej polityce jego agentów w stosunku do Polski: „Oszukano mnie i ja sam dałem się oszukać. Ani Maret, ani ksiądz Pradt nie potrafili zorganizować oporu w Polsce. Sądziłem ją całą pod bronią, a ona była uśpioną. Maret bawił Polaków, a ksiądz Pradt ich zniechęcił. Nie mogłem uczynić gorszego wyboru i powierzyć sprawy swoje człowiekowi mniej zdolnemu. Byłem oszukany jego błyskotliwym umysłem (esprit). Umie on rozumować i schlebiać, ale niezdolny jest do działania".

Pozostawiamy podróżników po tych wynurzeniach na odległości już tylko 48 godzin jazdy od Paryża — nad brzegami Renu.

Echo konferencji warszawskiej historyków

Na łamach miesięcznika „Le Monde Have" dr. Tadeusz Mannteuffel p. t. „La première conférence des historiens de l'Europe Orientale et du monde Have" zdaje sprawę z narad kilkudziesięciu uczonych, jakie miały miejsce w Warszawie w czerwcu 1927 r.

Obrady zakończyły się powołaniem do życia tymczasowego komitetu wykonawczego federacji towarzystw historycznych do badania dziejów Europy Wschodniej. Narazie w składzie tego komitetu brak jeszcze delegatów francuskich i niemieckich. Wszakże historycy Niemcy wzięli udział w samej konferencji, a ze strony Instytutu Slawistycznego w Paryżu spodziewać się można w najbliższym czasie wydelegowania przedstawicieli do komitetu federacji.

Płodna inicjatywa Polski już zaznaczyła się trwałym rezultatem w postaci okazałego tomu I-go biuletynu powyższej federacji, drukowanego w Warszawie, i zasługującego na specjalne omówienie nietylko z punktu widzenia fachowo-historycznego, ale i ze względu na dane świadectwo polskiego wysiłku naukowo-organizacyjnego w sferze blisko nas dotyczących geograficznych sąsiedztw międzynarodowych. *T. G.*

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Dr. G. B. Kraków: Ba. — w wierszyku pańskim jest moment świetny a niewyzyskany poetycko: Głos pojazdu, głos ze świata i reakcja obłąkanych. Moment tragiczny, — trzeba go jednak poetycko wykorzystać. Wogóle, — zrobić, podprowadzić, stworzyć. Na razie jest to tylko po kronikarsku zaznaczone, nie przedstawia zatem waloru poetyckiego.

Marjan Kr.: Wiersz o jesieni nazwalibyśmy nieznacznym. Nie jest to złe, nie jest dobre. Przyzna Pan, że akord końcowy o tem, iż jesień jest smutna, — jest akordem ubogim, szkolnym. Ma się do poezji, jak akordy zadania harmonicznego mają się do natchnionych akordów wzniosłej muzyki.

Jan Mot. Kołomyja: Prywatnie nie odpowiadamy. Dziękujemy za zaufanie. Poezje całkiem złe. To znaczy nietylko, że nieudałe, ale nie wie Pan nawet jeszcze, jak zabrać się do tego rodzaju pracy: Radzimy odrzucić na razie pióro i wziąć się do lektury. Czytać i uczyć się.

J. S. Wiersze Pana, aczkolwiek szczere, nie przedstawiają jeszcze żadnej poetyckiej wartości. Wielki brak kultury, brak pewności we władaniu piórem. Radzimy czytać dobrych poetów, wzruszać się ich dziełem, myśleć o niem, zastanawiać się nad sposobami pracy tych poetów. Po paru miesiącach takiej pracy niech Pan znów sprobuje pisać: Zobaczy Pan postęp zpewnością.

A. Klem. Hrubieszów: Nie umieścimy, mimo pewnej ogłady i poprawności. Prosimy o inne próby, lepsze! Radzimy myśleć nad tematem. Pisanie, — to nie układanie słów. Układanie słów to już proces ostatni, najłatwiejszy. Poprzedza go twórcza żywa myśl, pełna cierpienia, miłości i radości. Myśl — o czemś, o kimś i t. d. Tymczasem u Pana wszystko jeszcze tylko mieści się w zażartem dobieraniu słów.

J. Woj. Kalisz: Musimy być surowi: Nie jest to pisanie a plecenie. Wody, które płyną w bezkres itp. Co to ma nagle do roboty taki bezkres. Co to wyraża? Co oznacza? Wyrzucić wszystkie słowa „poetyckie" myśleć rozsądnie o tem co się chce wyrazić i szukać dopiero wtedy poetyckiego czaru rzeczy rozumianych istotnie i głęboko.

Adolf Guap. Pisze Pan tak:

Z poszumem wody, rozdzieranej siłą
Żylastej dłoni, co pcha naszą łódź.
Płyniemy wolno przeciw fali wgórę
Z rozkazu jednej z naszych niemych żądz.

Znaczy to po zwykłemu i po ludzku, że postanowiliście odbyć wycieczkę (żądza była **niema**, przez co poeta daje do zrozumienia, że wszyscy uczestnicy **żywiołowo** poczuli potrzebę wycieczki), że wiosłujecie przeciw prądowi (rozdzieranej siłą) poeta dalej objaśnia to jeszcze wyraźniej. Naturalnie z tego opisu wynika w ostatniej zwrotce symbolika losu. Otóż: Los do kosza, stylizacja tak zawiła — do kosza. Niech Pan opisze pięknemi skromnemi rymami, jakto jechaliście łódką po rzece. Tylko ani słowa „wzniosłej poezji" a zobaczy Pan, jaka miła rzecz wyjdzie!

Afelta: Wiersze, które zaczynają się od słów „przeklnąłem Boga" nie czytamy z zasady. Z przyczyn nast.: 1) (Ze strachu) jeżeli tak się zaczyna, na czem ma się taki wiersz skończyć. 2) Ponieważ mnóstwo takich wierszy otrzymujemy. 3) Ponieważ z doświadczenia wiemy, że będą liche i dzielny kosz, nigdy nas jeszcze w tym wypadku nie zawiódł.

K. I. Pomorze: Poprostu — karygodne. Przecież przysyłał Pan już o tyle lepszą prozę. A cóż to znów za takie filozofje i alegorje. Pański Marcin idzie, nic nie widzi, nic nie czuje i tylko przez całą drogę rozważa o całokształcie życia. Nie popychalibyśmy nikogo do zbrodni, wolelibyśmy jednak, żeby ten Marcin kradł po drodze ziemniaki, pił, rozbijał, — byle tylko tak niemrawo nie myślał! No, — i wtedy byłaby jakaś akcja w opowiadaniu.

Michał P. Przez ten czas wiersze po szczegółowszej analizie odrzuciliśmy. Pańska proza nie wróży na razie nic dobrego: Wymyśla Pan bogatym za to, że nie mają litości dla biedaków. Coby Pan jednak sam zrobił, gdybyśmy mu ofiarowali miljon dolarów? Czy rozdałby Pan cały miljon?

E. M. Skolimów: Wszystko bardzo dobrze napisane, nie o to chodzi. Sprawy teatralne mają w naszych pismach aż nadto dosyć miejsca. Zaborcom byłym krzywda się nie dzieje nawet we wspomnieniu.

Oskar Z. Rydzyna: Są to rzeczy wiadome. Podaje je Pan w formie kronikarskiej. Nie jest to przecież jeszcze ani opowiadanie, tem mniej nowela. Rzecz taką umieścić można w piśmie z powodu jakiegoś dnia przeciwalkoholowego, ze sztuką pisarską ma jednak praca pańska bardzo jeszcze mało wspólnego.

T. Wit. W-wa: Radzimy trzymać się form i nastroju „Orkiestry". Tamte sportowe wiersze słabe. Orkiestra — szkoda, że kończy się tak twardo i bez szerszego wyjścia. Myśleliśmy, że potrafi Pan rzecz wyprowadzić na szersze tory, — dać wzniosłą metafizykę tej sprawy i chwili. Czekamy nowych prób, może bardziej zrównoważonych.

Jerzy Zak. Gostynin, kutnowskie: Dziękujemy bardzo. Nie możemy sprawami temi zajmować się zasadniczo. Zabraliśmy głos jedynie z powodu nowego roku szkolnego. Mamy wrażenie, że w tym wypadku młodzież sama mogłaby wywrzeć nacisk na t. z. starszych. Zacząć samemu tworzyć organizację a potem przyzywać ewentualnie do pomocy starszych.

Ar. Garo: Wiersz pański, — jak to Pan sam przewiduje, nie ma sensu. Oczywiście, — nie wiemy bowiem, skąd płynie pańska rozpacz, jakie są jej przyczyny. Pozatem posługuje się Pan nieszczęśliwemi obrazami, jak np. „mózg skruszył się w proszki". Nie można igrać tak obrazami, przecież to okropne. Widzimy natomiast Pana, przenikamy czaszkę, pod którą niby „kogutki" od bólu głowy Malinowskiego, czy Gessnera, leży w papierkach pański mózg. Okropne okropne!!!

T. T. Owszem, wiersz płynny, potoczysty, sądzimy jednak, że w gruncie rzeczy jałowy. Może nieco mniej banalny, niż inne, wkońcu jednak — słów wiele, uczucia mało.

Wu-Ha: T. zw. „pomysł" doskonały, że to miasta i wsie i wszystko zabiega drogę pociągowi, nie wytrzymała jednak Pani tej linji i nie dociągnęła. Rzecz taka musi iść ogromnemi skrótami, po granicach rzeczywistości u Pani tymczasem zaczynają się nieomal rozmowy elementów, — konwersacje. Malutki wierszyk o niepodobieństwach, bardzo dobry. Należy iść w tym kierunku.

R. B., Kraków: Poprawiliśmy w myśl wskazania — wydrukujemy. Więc jednak trwa Pan wciąż w tych archaizmach szanownych?!

Adam Zn., Zakopane: Nie potrzebuje Pan żadnych „popierających" słów. Daną sprawę wystarczy przedstawić p. ministrowi W. R. i O. P. Lepiej, żeby to sam Pan zrobił, niż szukał jakichś adwokatów.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem.